

# PKP – ważne, że jadę!

4 sierpnia 2016

Zapewne większość z nas miała „niewątpliwą przyjemność” korzystać z usług naszych Polskich Kolei Państwowych. Jestem studentką, uczelni oddalonej od mojego domu o około 300 kilometrów, więc chcąc nie chcąc jestem skazana na podróż.

Wyznając zasadę – „przezorny zawsze ubezpieczony” zawsze kupuje bilet dzień wcześniej przed podróżą i zjawiam się na peronie około 20 minut przed planowanym, tu podkreślam planowanym przyjazdem pociągu. O tej porze jest jeszcze w miarę pusto. Czekają już kilku pasażerów, wszystko zapowiada się bardzo dobrze, niedużo ludzi, nie będzie tłoku i ścisku.

Niestety na zapowiedziach się kończy. W szybkim tempie peron zapełnia się podróżującymi, którzy niespokojnie spoglądają na zegarki. Planowana godzina przyjazdu pociągu mija, a jego ani nie widać, ani nie słychać. Po chwili z megafonu daje się słyszeć gulgotanie. (Żeby moja opowieść była zgodna z prawdą muszę napisać, że na niektórych stacjach zainstalowano nowy sprzęt, który nie zmienia głosu ludzkiego w gulgot). Niektórym udaje się rozszyfrować treść komunikatu – pociąg się spóźni. Napięcie wzrasta – czekamy. Po dwudziestu minutach (to typowe spóźnienie, aczkolwiek w mojej karierze spotkałam się ze spóźnieniem tysiąca dwustu minut) radosny gulgot oznajmia, że pociąg wjeżdża na tor przy peronie. Zaczyna wrzeć. Ludzie ustawiają się w strategicznych punktach. Każdy ma swoją teorię. Jedni twierdzą, że trzeba siadać z przodu, bo tam zawsze są miejsca, inni wolą ostatnie wagony, jeszcze innym jest to obojętne. Pojawia się lokomotywa leniwie ciągnąca sznur wagonów. Dobiegam do najbliższych drzwi. Po krótkiej szarpaninie udaje mi się je otworzyć. Wtaczam się do środka, na plecach czuje już plecak wbijającej za mną osoby. Daleko nie idę, bo korytarze są już zajęte. Nie warto się przepychać i szukać miejsca. Wzrok koczujących w korytarzu mówi sam za siebie. Zostaje w korytarzu rozdzielającym wagony.

Na powierzchni niecałych czterech metrów kwadratowych ciśnie się pięć osób z walizami, torbami i plecakami. To jeszcze nie tak źle. Łazienka przynajmniej jest wolna. Przez okno drzwi widzę sprintem biegających wzdłuż wagonów, szukających miejsca, gdzie mogą się jeszcze wcisnąć. Po jakichś dziesięciu minutach ruszamy. Zapowiadają się cztery przestane godziny. Nawet na podłodze nie da zbytnio rady usiąść, bo wszędzie są bagaże. Następna stacja za pół godziny. Po drodze pociąg staje w szczerym polu. Trzeba przepuścić inny, jadący z naprzeciwka, a tylko jeden tor jest wolny (ach te remonty na Euro). W sumie, nie powinno nam to robić różnicy i tak mamy już spóźnienie. Następna stacja. Ludzie nie dowierzają, że jest nas tak dużo, wpychają się na siłę, każdy przecież chce dotrzeć do swojego celu. Ruszamy dalej. Ktoś rzuca hasło, że niepotrzebnie kupował bilet, bo w takim ścisku i tak konduktor nie będzie sprawdzał. Nic bardziej mylnego. Po jakimś czasie zjawia się pan w zielonym mundurze, kasuje bilety. Niewzruszenie i hardo przeciska się przez tłum. Na niemiłe komentarze odpowiada tylko, że trzeba było wybrać ekspres. Tam każdy ma przewidziane miejsce. Pomijam już fakt, że jest dwa razy droższy, a jedzie piętnaście minut krócej niż tanie linie. Konduktor przeszedł. Każdy zastyga w miarę wygodnej pozycji. Niestety nie na długo. Szczęśliwcy mający miejsca w przedziałach zaczynają wędrówki to toalety. Na nic zdają się prośby i gniewne słowa, że jest tłum, że nie da się przejść. Ludzie są jednak uparci. Oburzają się, że przecież płacą za bilet i mają prawo korzystać z łazienki. Fakt, mają prawo. My też kupiliśmy bilet, ale mniejsza z tym. To prawie jak gimnastyka, siadamy, wstajemy, wyginamy się. Jestem w stanie zrozumieć, że małe dziecko nie może wytrzymać ze swoimi potrzebami fizjologicznymi, ale dorosły człowiek? Powoli z godzinnym opóźnieniem zbliżamy się do kresu podróży. Pociąg pustoszeje. Na sam koniec wspaniałej wycieczki z PKP czeka na mnie kolejna niespodzianka. Skład był za długi i nie starczyło peronu aby wysiąść. No cóż, jeżeli zniosłam prawie pięć godzin „gimnastykując się” w tłumie i ścisku między wagonami, to zniosę i to.

Po mojej prawie już dwuletniej przygodzie z pociągami, która podejrzewam, że troszkę jeszcze potrwa, doszłam do wniosku, że złość naprawdę piękności szkodzi i nie ma co gniewać się i zżymać na nasze Koleje Państwowe. Przynajmniej będzie co na starość wspominać.

Autor: Klaudia Petrykowska

Źródło: [iThink](#)